POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 12 LIPCA 1930 ROKU NR. 28

ANDRZEJ STRUG

21)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Pomimo paszportu i dokumentów osobistych, pozostawionych w konsulacie, pomimo listów polecających, protokułu badań i kwestjonarjusza, szperają mu jeszcze w walizkach. Niechby to przynajmniej robili zręczniej.

Nowy znajomy — Jules Dasson „Alimentations, Transports" rue Acacias, 18 — odrazu przyznał się — w największej tajemnicy — że to nazwisko przybrane.

— Nic mi tu nie grozi, ale muszę dbać o opinję, gdyż w Genewie u władz miejscowych przeważają sympatje francuskie. Ktoby to powiedział, że ja, bojowy oficer i najgorętszy patrjota, będę naganiaczem niemieckim... Trzeba z czegoś żyć — moją specjalnością jest mąka kukurydzana i ryż, ale potroszę przechodzę na kawę. Jest to nieprzyjemne, ale nie całkiem podłe, boć i Niemcy muszą jeść. Gdybym chciał zostać prawdziwym zdrajcą, opływałbym we wszystkie dostatki, zrobiłbym majątek i po wojnie mógłbym zacząć nowe życie w jakiejś Kanadzie...

Jego opowieść zajęła cały wieczór w zacisznej salce restauracyjnej hotelu Grepon. Niewiarogodna była ilość i rozmaitość trunków, które wchłonął w siebie przytem Mr. Dasson. Były one żółte, czarne, czerwone, zielone, nawet niebieskie — w szklanicach, kuflach, w kieliszkach, w kieliszeczkach — gorące, ciepłe, z lodem. Mieszaniny, dekokty... Pił to, przestrzegając pewnej kolejności, albowiem — jak twierdził — nawet w rozpuście, nawet w szaleństwie powinien być system. Nie upijał się nopad miarę, pod koniec tylko coraz częściej wpadał we francuszczyznę i coraz częściej musiał być zawracany w angielski.

...Croix de Guerre w Charleroi, pierwsza rana, pierwsza cytacja w rozkazie dywizji za Douaumont i Legja Honorowa, potem Somma i druga rana — Médaille Militaire i w szpitalu awans na podporucznika. W trzydniowych walkach w początkach grudnia zeszłego roku porażenie od dwudziestocentymetrowego pocisku i zatrucie gazem przez uszkodzoną maskę. Dom ozdrowieńców w Evian les Bains, rozkaz wypoczynku, awans na porucznika, uczta koleżeńska i wreszcie, wreszcie po dwuch miesiącach nadeszło to, co przyjść musiało. Lekarze uznali, że dosyć tych rozkoszy, za parę dni w końcu lutego miał wrócić na front. Jeszcze jedna wycieczka na jezioro — mimo zimy stale był czynny wśród ozdrowieńców w Evian śliczny jachcik żaglowy „Amphion". O kilometr od brzegu z poza Deuts du Midi, wychynął nagle wicher, z którym nie mogli sobie dać rady. Dusson siedział na sterze i uparcie walczył z wiatrem ale za jeszcze jednym przerzutem głównego żagla, łódź wraz z płótnami położyło na wodzie. Przemoczeni do nitki ledwie się wypętali i łódź wreszcie wstała ale burza wzmogła się do takiej siły, że nic nie pozostawało, jak gnać za wiatrem na uszczuplonych żaglach. Dobili na drugi brzeg, gdzieś niedaleko Montreux, zameldowali się, osuszyli się, ogrzali, zanocowali w oberży.

Tej nocy Dusson nie bardzo mógł spać. Wstał koło północy, cichaczem zabrał z kuchni wysuszone ubrane. Poszedł z uporem, dążąc ku czemuś niewiadomemu w długą zimową wietrzną noc. Gdy rozedniało, uczuł gorączkę, wielkie znużenie, zasiadł na ławce na stacji nadbrzeżnej i pierwszym pociągiem pojechał w stronę Lozanny. Oto wszystko — bardzo krótka historja...

...— Nadeszło to, co przyjść musiało. Musiało, panie Helm i inaczej być nie mogło. Obskurne licho zagnieździło się we mnie oddawna i siedziało cicho, czekało swojej chwili. Gdyśmy wyruszali na tę miłą wycieczkę, przysięgam panu, że ani mi do głowy nie przyszło... Sterowałem dobrze, przemagałem wiatr i fale... Wówczas wypełzło utajone licho i odebrało mi z rąk ster. Potem już samo wszystko szło. Pan myśli, że każdy może znosić bez końca swoje bohaterstwo, rany, zaszczytne ordery? Okopy, brud, wszy, ogień huraganowy, gazy, walki nocne na granaty? Smród trupi, strach, zmęczenie okropną nudą wojny? Mnie starczyło na półtrzecia roku, teraz zdumiewa mnie, że mogłem wytrzymać tak długo... Najgłębszą tajemnicą wojny jest to, właśnie, że miljony ludzi wytrzymują jeszcze, choć każdy żołnierz w głębi duszy jest oczywiście taki sam jak ja. Zrozumieć tego niepodobna, to są poprostu jakieś czary! Miłość ojczyzny? Honor żołnierski? No — i sąd polowy. Pan przypuszcza, że ja się dręczę straszliwie swoją hańbą? Że się nieprawdy wstydzę? Że się mam za najpodlejszego z najgorszych? Bynajmniej, panie Helm. Dręczy mnie jedynie zagadka, że wojna trwa sobie w najlepsze i ani się zanosi na to, żeby któregoś dnia Francuzi, Niemcy, Anglicy a za nimi wszyscy inni powiedzieli sobie — dosyć tego, walmy do domu!

— Powiedziała to już armja rosyjska...

— Genjalna młoda rasa! Otwiera ona nową erę w życiu ludzkości — ale narazie tylko teoretycznie. Bo na miejsce moskiewskiego tytana, który odpadł, w tej samej chwili, ani wcześniej, ani później, wy-

łazi z za oceanu supertytan amerykański. Kto go zaczepiał? Kto go zmuszał? Czy mu nie dobrze było wyciągać dolary z każdego trupa bez wysiłku, bez ryzyka. Nowy cud, nowa tajemnica wojny światowej... Zaczynam przypuszczać, że obłęd zatracenia ogarnie z czasem resztę świata, ruszy dumną Hiszpanję, której hidalgowie, toreadorzy i gitarzyści zawstydzą się bohaterskich liliputów Portugałów i uderzą na tyły Francji. To podnieci Holandję i Danję — nie zabraknie Niemcom kakao, mleka i masła, a nawet tulipanów. Wreszcie na ogonie świata zwarjuje i nasza kochana Szwajcarja, przekroczy własną swoją neutralność, obejdzie lewe skrzydło niemieckie po to, żeby niebawem pułki romańskie starły się z pułkami germańskiemi i na wspólnej od wieków ziemi helweckiej, na uciechę światu sprawiły sobie srogie lanie. Poco? Naco? Dla potwierdzenie mojej tezy, że ta wojna, poczęta w obłędzie musi się zakończyć generalnem delirium świata. Na palcach można policzyć już nie ludy — ale ludzi, którzy oparli się szaleństwu. A więc tu obecna chluba rasy łacińskiej Romain Rolland, potem Liebknecht...

— No i pan...

— I ja! I ja! Panie Helm, ja przedewszystkiem, albowiem ja obchodzę się bez żadnej ideologji. Powiedziałem sobie: nie chcę, bo już nie mogę! Dlaczego nie mogę? Bo nie chcę, panie Helm! Tacy jak ja są rozstrzeliwani, a zatem człowiek mojego gatunku staje się rzadkością. Zatraca on odwagę bojową i zamienia ją na najwyższą w ludzkości odwagę — odwagę cywilną. Staje się rewolucjonistą bez haseł i frazesów, świadczy całem swojem jestestwem, że odrzuca prawa tego świata i przemoc obłędu, przed którym ukorzyli się wszyscy. Kiedyś mogą mi stawiać pomniki, narazie jestem tylko nędznym dezerterem.

Wykradziony notatnik znalazł się nazajutrz na swojem dawnem miejscu w walizeczce z gwarantowanym zamkiem. Dr. Helm pisał:

...— Tutejsza neutralna Europa na pierwszy rzut oka wydaje mi się bardziej pogmatwaną niż nawet Francja. Szwajcarów nie znać zupełnie pod grubą warstwą międzynarodowych obieżyświatów. Strony wojujące mijają się spokojnie na ulicach a nawet prowadzą wspólne interesy. Wszelkie odmiany szubrawców, kanalji, szpiegów i kontr-szpiegów, służących na oba fronty. Tajemnicze samotne panie wałęsające się po korytarzach hoteli i po kawiarniach sprzedając się, usiłują zarazem coś kupić, są bardzo ciekawe różnych okruchów i plotek wojennych. Rodaków moich spotykam na każdym kroku, mowa niemiecka nikogo tu nie razi. Mój konsul już wie, że staram się o wstęp do Niemiec, przysłał mi nakaz stawienia się w jego biurze. Zakazał mi stosunków z konsulem niemieckim, groził represjami, zażądał mego paszportu. Bez żadnych oburzeń i tyrad po prostu zabrałem się i poszedłem sobie precz. Odtąd włóczy się za mną krok w krok dwuch młodzieńców. Dr. Dusson zna ich, jeden jest Szwajcarem, drugi zbiegłym Niemcem z Cesarstwa, obaj na służbie amerykańskiej. Dziś przyjął mnie sam pan konsul i oznajmił, że sprawa moja jest na najlepszej drodze, ale ambasada poleciła mu uczynić mi pewną b. poważną propozycję, to jest, żebym wracał do Francji i podjął się tam pracy na rzecz Niemiec w dziale przemysłu wojennego. Znaczyło to, że mam wraz z innymi agentami wysadzać w powietrze zakłady amunicyjne wraz z robotnikami i okoliczną ludnością. Uchyliłem się od tej misji, oznajmiając, że w decyzji mej wyjazdu z Ameryki, aby oddać mą wiedzę na służbę ojczyźnie, podobne możliwości nie były przezemnie przewidziane. Nie mówiliśmy o tem więcej. Mr. Dusson przylepił się do mnie na dobre i opowiada swoje dziwy wojenne, co nieraz bywa ciekawe, ale zdaje mi się, że najciekawszy jest on tego, czy ja naprawdę nie umiem ani słowa po francusku. Ma manjerę wpadania we francuszczyznę i swemi pytaniami zastawia na mnie straszliwe pułapki. Ten tragiczny i śmieszny dezerter-alkoholik i rzekomy Francuz, jest z pewnością agentem niemieckim. Dziwi mnie, że świetna pani Eva znosi jego natarczywość; nie przebiera ona w znajomościach, zawsze otoczona. I na mnie spłynęło parę jej spojrzeń i trochę uwagi. Pomimo wyraźnych sympatji koalicyjnych ma uznanie dla mojej decyzji, o której dowiedziała się od Mr. Dussona. Współczuje niedoli Niemców, dręczonych nieludzko w Ameryce, zdumiewa się sile wytrwania Niemiec i pomimo wszystko twierdzi, że koalicji nie pójdzie tak łatwo. Sfery paryskie przypuszczają, że rozstrzygnięcie może nastąpić najwcześniej pod koniec roku 1919-go — co za ponura perspektywa... Zwierzyła mi się, że miałaby wielką ochotę zajrzeć do Berlina, gdzie ma wielu dobrych znajomych z przed wojny — narazie jest to niemożliwe, przesądy i nienawiści są zbyt mocne, a choć ona nie zwykła ulegać czemukolwiek, to jednak przez jedną zachciankę nie może palić za sobą mostów i zwracać przeciwko sobie wszystkich przyjaciół po tej stronie frontu. Jest prosta, łatwa i szczera — ani śladu manji wielkości, ani śladu kokieterji ale i tak powab jej jest straszliwy.

ROZDZIAŁ V.

Na rzece od samego rana leżała mgła, zakrywała nadbrzeże, miasto, kominy fabryczne i wszystko zdawało się spać. W mętnej, burej ciemności odzywały się w oddali tajemne porykiwania holowników, zgrzytały łańcuchy dźwigów portowych i co chwila zmarznięta ziemia stękała głucho pod brzemieniem jakichś przetaczanych ciężarów. Niewidzialne samochody mijały willę „Zyglindę" i trzęsły murami, sapiąc, dzwoniąc żelastwem. Gęsta mgła ukryła prace tytanów-niewolników. Co się tam dzieje? Nad czem mozolą się ci ludzie potężni i nieszczęśliwi? Czyż nazawsze już są skazani na trudy złowrogie i bezcelowe? Kogo należy ostrzec, kogo błagać, żeby zwolnił z jarzma męczenników i oszczędził światu dalszych klęsk? Boże miłosierny, czy już nie dosyć?...

Chwilami mgła zgęszczała się, nasiąkała dymem i zasłaniała nawet drzewa nadbrzeżne. Wówczas w pokoju pomimo południa stawało się ciemno. Grobowa ponurość napierała na wielkie okna i przenikała do wnętrza. Wytworny miły salonik stawał się odstraszającą piwnicą, pełną gróźb, czających się po kątach. W lustrze majaczyły cienie głów i usiłowały wydobyć się ze złoconych ram. Na kanapie za stołem znowu zasiądzie nieznajomy, utkany z mgły i dymu, upiór przybłędny, duch złej wieści... Czy się odezwie za tym razem, czy ją wyjawi nareszcie?

Baronowa Rita von Tebben-Gerth nie obejrzała by się za nic na świecie. Lepiej nic nie widzieć, lepiej nic nie wiedzieć... Przywarła czołem do szyby i drżąc ze strachu starała się przeczekać nawałę pomroki. Gdy przewalą kłęby mgły zniknął widziadła. Cóż za okropna zima, od trzech tygodni nie było jednej chwili słońca — jakże tu żyć?

(D. c. n.).

MAYERLING

10)

Jej zamiłowanie do samotności i podróżowania wzrastało; nie zjawiała się nawet, na oficjalnych przyjęciach; zorganizowała sobie życie utajone, do którego nikt nie miał przystępu, nawet syn. Czasem, z jednego słowa Rudolf odgadywał, że widzi w nim zawsze syna swojej krwi. Czasem, w jednem jej spojrzeniu wyczytywał czułość, a nawet litość; jeżeli wiedziała, że odgadł ją, stawała się ironiczną, sarkastyczną. Nie znosiła żadnych wynurzeń.

Żył blisko z jedną tylko osobą, należącą do rodziny — z arcyksięciem Janem Salvatorem Toskańskim. I chociaż Jan Salvator był od niego starszy o sześć lat, przyjaźń ich trwała od chłopięcych lat. Był to mężczyzna, rozmiłowany w sprawach wojskowych i doskonały żołnierz.

Inne jeszcze rzeczy pociągały Rudolfa do swojego kuzyna. On jeden w rodzinie cesarskiej, posiadał liberalne poglądy i potrafił wprowadzać je w czyn, starając się żyć, nie jak arcyksiąże, lecz wiodąc egzystencję człowieka prywatnego.

Jan Salvator zakochał się w uroczej pannie, należącej do wiedeńskiej burżuazji, Milli Stubel. Żył z nią swobodnie i szczęśliwie. Wieczory spędzał przeważnie u siostry swojej przyjaciółki, w ścisłem serdecznem kółku. Rudolf podziwiał swojego kuzynka, który wybrał, według niego, najlepszą cząstkę. Zazdrościł mu, że potrafił, obok groźnego Hofburgu, stworzyć sobie z dziewczyną kochającą go, proste i niemal rodzinne szczęście, dalekie od wszelkiego kłamstwa i wszelkiej etykiety. Jakie to było ponętne! i jakie — niestety — niedostępne.

Rozmawiał kiedyś o tem z swoim kuzynem, przy Milli Stubel.

— Prawdę mówiąc — rzekł Jan Salvator — więzy, które mnie łączą z tym krajem, nie są już bardzo mocne... wyczerpałem już wszelkie rozkosze jakie daje dworska etykieta i zaszczyty. Milli podejdź tu bliżej — dodał zwracając się do młodej dziewczyny.

— Milli jest dla mnie wszystkiem — ciągnął — czy wątpisz, że zasiadanie do stołu z nią samą, jest znacznie przyjemniejsze, od wielkich obiadów rodzinnych, czy oficjalnych przyjęć w Hofburgu? Rozmawia się tu swobodnie i nie jest się skazanym na wysłuchiwanie banialuków wuja Albrechta (arcyksiążę Albrecht, zwycięzca z pod Custozzy, był zmorą Jana Salvatora). Nie jestem dla Milli arcyksięciem, lecz człowiekiem, którego kocha. To coś zupełnie innego, coś czego nie zaznasz nigdy... Niestety jestem jeszcze w tym kraju Cesarską Wysokością i brak mi swobody... Ale co tam, pewnego dnia odjadę stąd... Bez trudu i żalu zrezygnuję z moich tytułów, praw, przywilejów... A ta mała dziewczynka będzie również rada, jak ja... Opuszczę Austrję. Świat jest wielki, mój Rudolfie... Kocham morze... Nad morzami południa znajdują się wyspy, które mnie pociągają. Pojedziemy ku nim na żaglowcu.

— Niech Wasza Wysokość jedzie z nami — zażartowała Milli. — Wasza Wysokość jest admirałem i będzie kierować okrętem.

— Musiałbym mieć taką przyjaciółkę, jak pani — odrzekł Rudolf — mój kuzyn Jan jest szczęśliwym człowiekiem.

Od tej pory, przypominał sobie często tę rozmowę. Nowe życie! Nikt nie pragnął tego goręcej, jak on sam. Lecz do nowego życia konieczna jest nowa towarzyszka.

Gdzie ją znaleźć? Sam był; zrozumiał całą swoją nędzę. W tym momencie przesunęła się przed jego oczyma słodka i świeża twarzyczka Marji Vetsery. Była w jej spojrzeniu, taka powaga i głębia, której niepodobna było zapomnieć. Może ta potrafiłaby się dać całkowicie, nic wzamian nie żądając... Wzruszył ramionami:

„Pozostanę na zawsze niepoprawnym marzycielem".

* * *

Jedynie ambicja zatrzymała w Austrji arcyksięcia Jana Salvatora. Pragnął zwyciężyć ideami, których bronił. Czuł się silny w wolnomyślnem mocarstwie, mocarstwie mającem się odrodzić za panowania Rudolfa. Spodziewał się wszystkiego po swoim kuzynie!

A jednak pozwalał się unieść swojej naturze porywczej i nieokiełzanej. Krytykował surowo teorje i metody głównodowodzącego armją i szefa sztabu. Publikował nawet artykuły i broszury poruszające ten temat, w Austrji i zagranicą. Takich rzeczy nie wybaczało się w Hofburgu. Ostatnio, cesarz zabronił następcy tronu widywać się z arcyksięciem Janem. Ten rozkaz zirytował Rudolfa. A jednak należało być posłusznym. Lecz, powoli, mimo zakazu cesarskiego, Rudolf zaczął w sekrecie, spotykać Jana.

Jan Salvator niecierpliwił się. Cesarz zbliżał się do sześćdziesiątki, lecz nie można było zauważyć w nim żadnych oznak zmęczenia.

— Twój ojciec — mawiał Jan Salvator do Rudolfa — pracuje jak maszyna. Nie zapala się do niczego. Nie przejmuje się. Nie zużywa się więc wcale. To może trwać!

A któregoś dnia rzucił wyzywająco:

— Długo to znosić będziesz?

Rudolf nic nie odpowiedział.

Postępowe zapatrywania Jana Salvatora wzbudzały wielką niechęć w kołach oficjalnych, lecz zarazem jednały mu sympatję i uznanie w środowisku liberalnem i w marynarce. Stał się jakby przewodniczącym partji, lecz jako taki był zmuszony do wielkiej ostrożności i ukrywania swojej działalności. To, co można przedsiębrać tylko w cieniu, nabiera niezwłocznie niebezpiecznego charakteru. Nieszczęściem prawdziwem było, że na skutek widywania się z Rudolfem w tajemnicy tylko, ich niewinny stosunek nabrał wszelkich pozorów konspiracji.

Nie opuszcza się późnym wieczorem własnego mieszkania przez boczną furtkę, nie otula się w płaszcz z wysoko podniesionym kołnierzem, który zakrywa twarz, nie wskakuje się do dorożki, nie ucieka się przed szpiegami, będącymi na twoim tropie, nie stąpa się cicho po kuchennych schodach, ażeby mówić w cztery oczy o tem deszczu i pięknej pogodzie.

Rozmowy następcy tronu i arcyksięcia Jana Salvatora obracały się dokoła najpoważniejszych zagadnień państwowych.

Dla Rudolfa rozmowy te posiadały przedewszystkiem charakter przedmiotowy. Jego pragnieniem było pracować z człowiekiem pewnym, o światłych zapatrywaniach i omawiać z nim tematy, do których się palił. Wyobrażał sobie, że w ten sposób przygotuje przyszłość. Arcyksiążę Jan Salvator — indywidualność o burzliwym temperamencie i rozmiłowana w intrygach — miał na widoku bliższy cel. Z całem napięciem woli dążył do czynu. Ponieważ jednak był subtelny, wyczuwał doskonale głuchy opór arcyksięcia Rudolfa i zdawał sobie sprawę, że, następca tronu był jeszcze bardzo daleki, by zdobyć się na przełomowy krok. Należało go więc prowadzić bardzo wolno po drodze, jaką obrał, zacieśnić wokoło niego sieć intryg, pokazując mu zaledwie maleńką cząstkę przedsięwziętego dzieła. Wciągnął by go tym sposobem i zmusił — gdy nadejdzie odpowiednia chwila — do powzięcia stanowczej decyzji i odegrania wielkiej roli.

Jan Salvator znał swojego kuzyna. Nie wolno było wygłaszać przed nim oderwanych teorji, lecz należało wykorzystywać nieuniknione wybuchy gniewu, które następowały po nieudanych próbach, przeprowadzenia reform wojskowych.

Szef sztabu słuchał z największym szacunkiem, gdy arcyksiążę Rudolf wygłaszał swoje poglądy i uwagi, lecz nie czynił z nich żadnego użytku i nie ustępował na krok od wytkniętej przez siebie, drogi.

— Są nazbyt głupi! — wrzeszczał wtedy Rudolf.

W takich chwilach umacniał swoje wpływy Jan Salvator, rzucając ziarno na podatną glebę.

Jeżeli następca tronu nie widział całej gry swojego kuzyna, to przecież był dość bystry i spostrzegawczy, by odgadnąć, że Jan Salvator knuł w tajemnicy tysiące intryg. Jak daleko posuwał je? Rudolf, w obawie ażeby nie być zmuszonym do zerwania z kuzynem, wolał nic nie wiedzieć. Z kim — prócz Jana Salvatora — mógł rozmawiać swobodnie?

Nieostrożne słowo Jana Salvatora, obudziło podejrzliwość Rudolfa i umocniło w przekonaniu, że winien się mieć na baczności. Stało się to, przed wyjazdem następcy tronu do Galicji. Arcyksiążę Jan Salvator, mówiąc o pobycie Rudolfa we Lwowie, wspomniał nazwisko szefa sztabu jedenastej dywizji, i dodał:

— To jeden z naszych. Mógłbyś mu powiedzieć jedno słowo.

— Jedno słowo! — powtórzył sucho Rudolf — a o czem?

— No... jedno uprzejme słowo — odpowiedział wymijająco Jan Salvator, czując że posunął się za daleko.

Rudolf nie nalegał, lecz ten drobny wypadek nie przeszedł bez śladu i pozostawił niemiłe wrażenie.

W wagonie słowa: „to jeden z naszych" wróciły mu na myśl i zaniepokoiły go, nie na żarty. W jego rozgorączkowanym umyśle, wydały mu się pełne ponurej treści. „To jeden z naszych", Jan Salvator chcąc określić zaprzysiężonego spiskowca, nie wyraziłby się inaczej! Spiskowiec! Czy istniała jakaś konspiracja, tajne porozumienie pomiędzy arcyksięciem Janem, oraz wyższymi oficerami w czynnej służbie? Nagle Rudolf zrozumiał jasno, że coś się przygotowywało w cieniu. Do licha, z tą miną jakby się interesował tylko oderwanemi pojęciami, można było przecież spodziewać się po Janie Salvatorze, że jego pozytywny umysł nie pozostanie w sferze idei i że, będzie uważał, iż, należy przyjść z pomocą szczęściu. a w danej chwili trzeba też będzie mieć siłę, istotną siłę w rękach.

Nic nie wydawało się wstrętniejszem Rudolfowi od buntu, lub zamachu stanu. Był do szpiku kości żołnierzem. Był lojalny. Dotychczas wyobrażał sobie dość naiwnie, że można było rozmawiać o wszystkiem bez najmniejszego niebezpieczeństwa. Teraz widział, że słowa dążą bezwzględnie do wyrażenia się czynami. Do rozpaczy doprowadziła go myśl, że on następca tronu, generał, mógłby się stać przywódcą buntowników.

Rewolty wojskowe dobre były dla Rosjan, tych smętnych dzikich i podstępnych Azjatów. Ich historja pełna była takich poczynań. Lecz on, Habsburg, przenigdy!. Zapałał rzetelnym gniewem do swojego kuzyna, który chciał go wciągnąć na drogę, wiodącą do zniesławienia, hańby! Przyrzekł sobie, że natychmiast po powrocie do Wiednia, powie mu wszystko co myśli, bez względu na to, czy nie wyniknie stąd zerwanie przyjaźni.

W czasie krótkiego pobytu w Galicji, Rudolfa nie opuszczały te myśli i wywoływały coraz większe podniecenie. A jednak — była ta sprzeczność dosyć dziwna — zachował się wyjątkowo uprzejmie względem szefa sztabu jedenastej dywizji. Przyglądał mu się nieufnie i niespokojnie.

— Czy to twarz zdrajcy? — zapytywał się w duchu.

Wrócił do Wiednia wczesnym rankiem, zmęczony podróżą. Listy, które otrzymał na wstępie, rozgniewały go. Z wszystkich stron same przeszkody. Nic miłego! Widzenie z żoną nie sprawiło mu przyjemności. Arcyksiężna Stefanja odgrywała chwilowo rolę ofiary. Mało mówiła i dużo wzdychała.

— Niema nic szczerego w tej kobiecie, — pomyślał Rudolf — zdaje mi się, że wolę ją nawet wtedy, kiedy się gniewa.

Wszystko to razem wziąwszy nie odprężyło mu nerwów.

A jednak znalazł spokojniejszą chwilę. Odwiedził go hrabia Hoyos. Był to człowiek prosty, niezbyt inteligentny lecz niezdolny do matactwa i podstępów. Rudolf zapraszał go często na polowania. Hrabia zgłosił się do arcyksięcia z prośbą, by wziął udział w kolacji, którą zorganizował tego samego wieczoru u Sachera.

— Będą sami swoi — rzekł. — Z mężczyzn Wasza Wysokość, Filip i ja. Ale znalazłem Cygankę! Nic podobnego nie spotkała Wasza Wysokość, dotychczas. Nazywa się Marynka; dopiero co przybyła, do Wiednia. Być może, trochę dzika; lecz kiedy śpiewa — porywa!

— Wybacz mi, mój drogi, ale nie przyjdę — rzekł Rudolf. — Jestem zmęczony. Piłem w Galicji, ponad miarę. Zmuszano mnie do picia. Jest to, podobno związane z moim zawodem, ale ich tokaj nie należy do najprzedniejszych. Będę zajęty cały dzień i położę się wcześnie.

(D. c. n.).